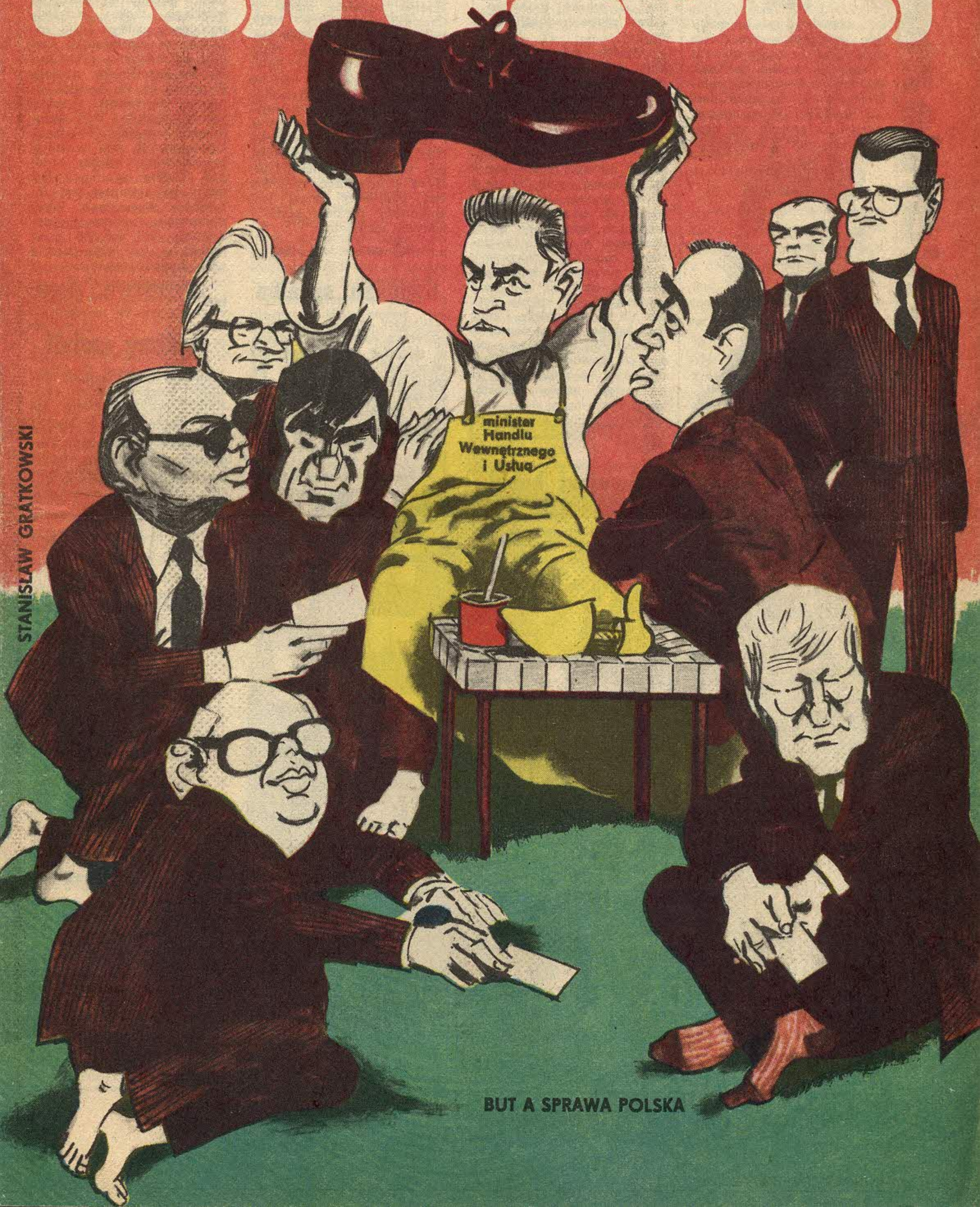
ROK XXVI NR 18/617 1982 R. CENA 15 ZŁ

karuzela



BUT A SPRAWA POLSKA

k»raj na ziemi

o nich się mówi

Zygmunt Łakomiec

min. handlu wewnętrznego i usług

w ostatnim swoim telewizyjnym wywiadzie zapewnił, że szyje buty narodowi.

Aby nas jednak za bardzo nie rozpieszczać, poinformował, że kartkowe buty nie będą na miarę naszych marzeń, a jedynie na miarę naszej stopy. Życiowej.



Waldemar Świrgoń

sekretarz KC PZPR

Ostatnimi czasy jesteśmy świadkami dwóch postaw wobec młodzieży. Z jednej strony sypią się gromy, z drugiej zaś premiuje się kredytem młode małżeństwa.

Nowo mianowany sekretarz KC ukończył 29 lat, więc wg. wszelkich kryteriów mieści się w kategoriach młodzieży.

Młodzież jaka jest każdy widzi.



Bez gumiaków

Otrzymaliśmy pełen goryczy list od rolnika (nazwisko i adres znane redakcji). Oto treść:

„Za rolnikiem nie stoi ani bhp, ani komisja socjalna, toteż rolnik stoi w dziurawych butach gumowych i obszarpanej fufajce. A tu w sklepie Gminnej Spółdzielni powiadają, że gumiaków i odzieży ochronnej nie widziano od dobrych dwóch–trzech lat. Ciekawe komu by się z miasta chciało bez kaloszy włazić do gnoju, a w potarganych łachach na słocie wystawać w kolejce z dostawą buraków cukrowych. Chłop nawet nie może powiedzieć „czy się stoi, czy się leży...", bo chłopu darmo nic się nie należy. I bardzo dobrze, bo za darmo – umarło! Ale dziennikarze piszą, że chowamy zboże i trudno nam je wyrwać. To ja się pytam panów redaktorów:

– Komu wyrwać gumiaki i fufajkę?

Swojski bubel

Niejedna niewiasta przeklina ów dzień, kiedy to dość niefrasobliwie stanęła w kolejce i nabyła żaroodporny „dzbanek z pokrywą i uchwytem" produkcji Huty Szkła w Wołominie. Dzbanek, jak dzbanek, z wyglądu naśladuje podobne made in Czechosłowacja czy NRD, lecz niespodzianki, jakie szykuje użytkownikowi, są typowo swojskie. Podczas nalewania do szklanek herbaty lub kawy wadliwie ukształtowany dziobek powoduje rozchlapywanie płynu na obrus i nogi siedzących przy stole. Następuje też kulminacja, gdy wypada zbyt luźna pokrywa i przewraca szklankę. Ten bublowaty sprzęt jest sygnowany znakiem pana z kontroli technicznej.

– Jaki pan – taki kram!

Świńska sprawa

Wszyscy mamy kłopoty z nabyciem kartkowych butów, w sklepach nie uświadczysz porządnej walizy, torebki czy teczki ze świńskiej skóry, bo takowej podobno nie ma, ale z absolutną beztroską i rozrzutnością wpycha się ogonkowym klientom nie odarty ze skóry boczek.

– Pani to wsadzi do kapusty! – wesoło doradzają rzeźnicy, co oburza naszych Czytelników, którzy woleliby wsadzić to sobie na nogi w postaci gotowych butów.

Zmywanie głów

„Pollena" wspierana firmami polonijnymi dokonała wielkiego skoku: wszystkie perfumerie całego kraju zawalone są szamponami. Odnosi się wrażenie, jakby wytwórnie kosmetyków oszalały. A gdzież to się podział olbrzymi asortyment wysokiej jakości kremów, wód kwiatowych, szminek, śmietanek kosmetycznych itp., w której to dziedzinie byliśmy potęgą? Trudno zgadnąć! Być może ów szampon jest rezultatem wygodnego interpretowania reformy gospodarczej. Jeśli tak, to przez najbliższe trzy lata będzie czym zmywać głowy:

– „Pollenowskim" dyrektorom!

Bądźmy czujni!

Bądźmy czujni kupując makaron włoski wytwórni „Różanka" we Wrocławiu. Jakość niezła, ale ta waga! Ma być w paczce pół kilograma – jest często 10–20 dag. mniej... Podobno to automat do pakowania chce nas oszukać.

– Za przyzwoleniem kierownictwa wytwórni.



Praktykantki w apartamencie

Ów duży zakład, o którym chcę napisać, liczący prawie cztery tysiące pracowników, podobnie jak inne, borykał się i boryka nadal z trudnościami kadrowymi. Znajduje się na obrzeżu Łodzi i nic dziwnego, że jedna trzecia zatrudnionych to tzw. chłoporobotnicy, dojeżdżający do pracy z okolicznych wsi. I tych też było za mało, toteż zakład przeprowadził „głęboką" rekrutację w promieniu około 60 kilometrów. Efekt — codziennie zakładowe autobusy przywożą i odwożą kilkuset pracowników do odległych miejscowości. Kosztowne to, ale niezbędne, by utrzymać produkcję na planowanym poziomie, skoro na miejscu nie ma chętnych do roboty.

Przemysł bawełniany to przede wszystkim kobiety, w większości matki i żony. One też najbardziej ucierpiały gdy zaczął się przed dwoma laty ów obłędny kontredans zaopatrzeniowy. Trudno stać przy maszynie 8 godzin, następnie 8 godzin w kolejce. Toteż postanowiono usprawnić działalność bufetów fabrycznych. Wszyscy pracownicy zakładu otrzymali kartki zaopatrzeniowe. W bufecie można kupić jaja, śmietanę, ser i inne produkty rolne. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że pierwszymi, którzy ustawili się w kolejce przed bufetami, byli właśnie ci dojeżdżający ze wsi i posiadający mniejsze lub większe gospodarstwa rolne. Na jednym z wydziałów robotnice zażądały, aby jedna z ich koleżanek, a także jej mąż, zrezygnowali z kupna jaj i śmietany. Wszystkim wiadomo, że owi małżonkowie, jak to się mówi w sile wieku, są właścicielami 20-hektarowego gospodarstwa rolnego leżącego w odległości 50 kilometrów od Łodzi. Ale trudno pracować w fabryce i obrabiać 20-hektarowe gospodarstwo, więc ziemię wydzierżawili, zostawiając sobie dom i dużą przyzagrodową działkę. — No dobrze — mówią prządki — ale jak już tak pokochali pracę w n a s z y m zakładzie, to dlaczego do n a s z e g o bufetu nie dostarczają jajek czy śmietany ze swego gospodarstwa, a jeszcze u nas je wykupują? Osądźcie sami!

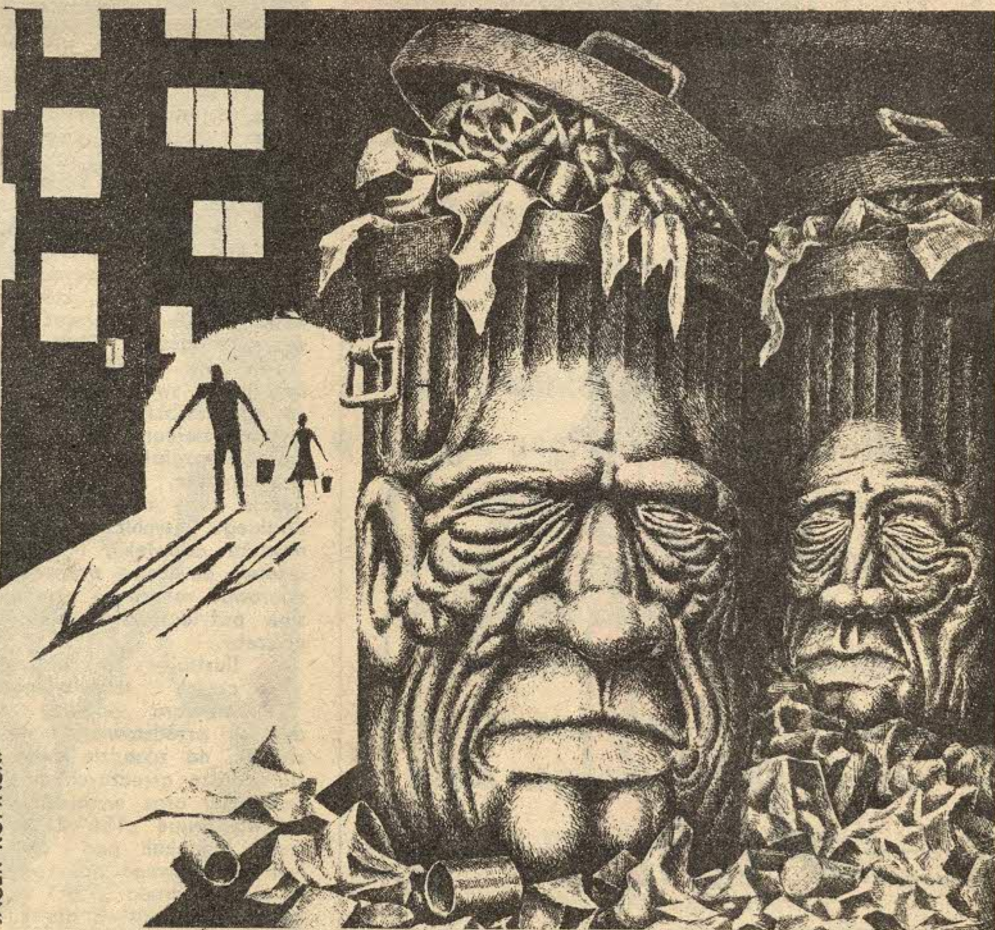
A oto druga sprawa, która niepokoi moje dziennikarskie sumienie. Fabryka, chcąc wychować własną młodą kadrę, nawiązała kontakt z zasadniczymi szkołami zawodowymi branży włókienniczej innych województw. M.in. z siedleckiego, i ciechanowskiego zwerbowano do fabryki około 100 dziewcząt, absolwentek takich właśnie szkół. Zakład zobowiązał się zapewnić zakwaterowanie, stołówkę i przyuczyć je do zawodu. Jeżeli z zaadaptowaniem do zawodu fabryka, zresztą o stuletniej tradycji, nie miała większych problemów, to sprawa zakwaterowania dziewcząt natrafiła na trudności, zdać by się mogło — nie do przezwyciężenia.

Przedsiębiorstwo, znane z prężnego kierownictwa, już dawno zaplanowało wybudowanie własnego hotelu robotniczego dla młodych ludzi. W tym celu zakupiono w NRD składany budynek typu „Lipsk". Tanie to, a najważniejsze proste w montażu, wystarczy podmurówka i budynek jest gotowy — kilkukondygnacyjny. Kiedy już chciano toto stawiać — wydany został zakaz, w zasadzie słuszny, realizowania „dzikich" inwestycji. Sam budynek w segmentach to zakup, zestawienie tego do kupy — inwestycja. Do tego „dzika". Przeciętny zjadacz chleba nie bardzo rozumie w czym rzecz, ale już pracownicy księgowości wiedzą co „jest grane". No i nie było gdzie umieścić nowo zaangażowanych adeptek branży bawełnianej.

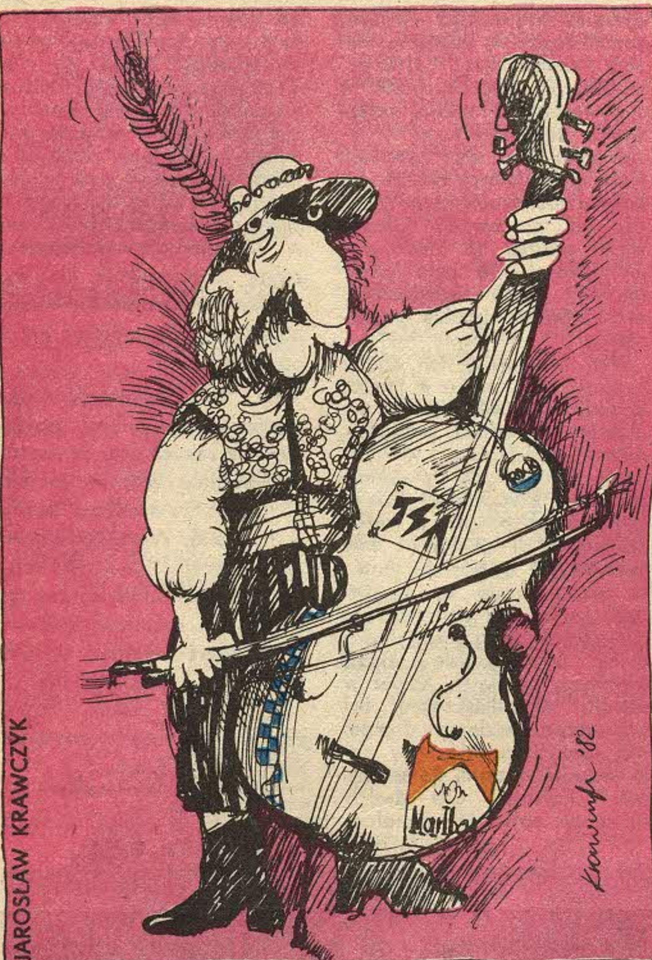
Dla niewielkiej ich części znalazły się miejsca w innych hotelach robotniczych, dla niektórych kwatery prywatne, reszta zamieszkała w normalnych hotelach miejskich. Tak więc kilkadziesiąt dziewcząt zajęło pokoje w „Mazowieckim" i „Polonii". Nie mówiąc już o tym, że hotele przeznaczone są do innych celów, nie wspominając o kosztach obciążających fabrykę. Wydaje się rzeczą wątpliwą, by hotel, nawet w ustroju socjalistycznym, był najlepszym rodzinnym domem dla dwudziestolatki. Aby było weselej dodam, że w hotelu „Polonia" dla dwóch dziewczyn zabrakło normalnego pokoju, więc umieszczono je w... apartamencie. One nie protestowały, zakład nie wiedział, więc płacił. Mieszkanie praktykantek dwudziestokrotnie przewyższyło wartość produkcji wytworzonej przez obie te dziewczyny. I tym chyba pobiliśmy rekord światowy w Księdze Guinessa. Nawet Ford w Detroit dla najlepszych swych pracowników nie wynajmował pokojów w hotelu „Sherton", nie mówiąc już o apartamencie!

PS. Aby zaspokoić Szanownych Czytelników zawiadamiam niniejszym, że ostatnio podjęta została decyzja o likwidacji wynajmu miejsc w hotelach. Wszystkie dziewczęta przeniesiono do kwater prywatnych. Wyrażono też zgodę na budowę pawilonu typu „Lipsk". Sprawą zaopatrzenia chłoporobotników i opieką nad młodą kadrą zajmie się nowo powstała Rada Zakładowa.

ADAM BIEŃKOWSKI



Nabożeństwo sekty „TSA"



1 Po włączeniu telewizora, aż zdrętwiałem — jeden z uczestników trwającej właśnie dyskusji oświadczył, że jest centrystą. W modnym dziś szablonie czarno-białym każda tego typu nieoczekiwana i odważna deklaracja musi obudzić nie tylko podziw, ale i zaniepokojenie.

Na szczęście rychło wyjaśniło się, że mowa o rock and rollu i w tej właśnie dziedzinie wspomniany dyskutant stoi na twardym gruncie centrum, tak, że dalszego ciągu mogłem już słuchać w bezpiecznym lenistwie. Okazało się to o tyle celowe, że mówiąc o różnych poglądach na tę właśnie muzykę przytoczono również moją starą („Karuzela") herezję, że „muzyka morduje obyczaje". Korzystając z okazji tezę tę przypominam i podtrzymuję, zwracając jednak uwagę na przemilczenie w telewizyjnej dyskusji okoliczności dość istotnej, że obyczaje morduje muzyka beatowa eksponowana po dwanaście godzin na dobę (również w Dzień Zaduszny), przez stereofoniczne wzmacniacze, w pokoju o powierzchni sześciu metrów kwadratowych, na betonowym osiedlu. Nie jest natomiast ta muzyka mordercą sama w sobie, a więc w produkcjach na pustyni. Również jej popisy w specjalnej sali lub hali korzystają z okoliczności łagodzących, gdyż tam morduje ona osoby dobrowolnie zdecydowane na samobójstwo, który to wybór należy uszanować, jak wszystkie guściki.

Tyle na temat mojej herezji. Ze swojej strony życzę tylko szybkiej płajty przemysłowi stereofonicznych urządzeń rozgłaśniających. Uwzględniając, że jego produkcja służy niszczeniu naturalnego, psychicznego środowiska człowieka, nieliczne rezerwy dewizowe proponuję skierować raczej do przemysłów pożytecznych i istotnej potrzeby.



2 Ilustrując w dalszej części telewizyjnego wieczoru poglądy z dyskusji przedstawiono następnie, na zasadzie kontrastu, bardzo grzecznych mandolinistów oraz wysokodecybelową grupę „TSA". Gitarzyści brzdąkali pod cieptym okiem swego nauczyciela muzyki, grupa „TSA" wykonała nabożeństwo dla kilku tysięcy półprzytomnych wyznawców najprawdopodobniej już sekty.

Niestety, mecz ten nie wypadł pomyślnie dla żadnej z drużyn. Grzeczność mandolinistów połączona z niewyraźną dykcją ich wypowiedzi, a następnie z melodią rzewną i przesłodką, a więc nudną, okazała się równie nie do strawienia, jak bardzo dynamiczna, bardzo brzydka i bardzo dobrze pokazana grupa „TSA". A że podobnie nie do przyjęcia byłyby w popisie dłuższym i wyłącznym postulowane przez pewnego rolnika w sondzie obertasy, można przyjąć, że należy uprawiać wszystkie sztuki muzyczne skoro różne są gusta. Kto lubi nauczycieli niech sobie posłucha mandoliny, kto woli zapoconego i rozmamłanego osiłka niech się nim egzaltuje w hali, kto lubi bęben i skrzypce niech idzie za stodołę, jego to rzecz i sprawa. Należy natomiast przeciwdziałać nadmiernej agresji publicznej każdego z tych gatunków i tu otwiera się pole do popisu dla organizatorów zarówno życia muzycznego, jak kultury współżycia w miastach i osiedlach. — Wszystko na swoim miejscu — jak mówił lekarz wojskowy po obejrzeniu wujka w komisji w 1916 roku.

3 Kończąc sprawozdanie z wieczoru muzycznego telewizji wspomnę już tylko, że opętana grupa „TSA" pożegnała swą równie opętaną widownię pełną ekspresji piosenką o prostytutce i sprzedaży ciała byle jak i byle gdzie. Uwzględniając, że widownia w znacznej części była nawet jedenastoletnia, było to chyba i budujące i pod każdym względem słuszne.

A teraz coś z prehistorii, dla rozweselenia:

Nasz sprawozdawca sportowy, po powrocie piłkarzy z „Mundialu-82": — Piłkarze są poważni, skupieni, choć w świetnych humorach.

Podobne sytuacje występowały dotąd najczęściej na pogrzebach.

JANUSZ PRZYBYSZ

MARIAN KARCZMARCZYK

● Minął się z prawdą.
Teraz tłumaczy się,
że chciał uniknąć zderzenia.

● Na targu nie kupisz piątej klepki.

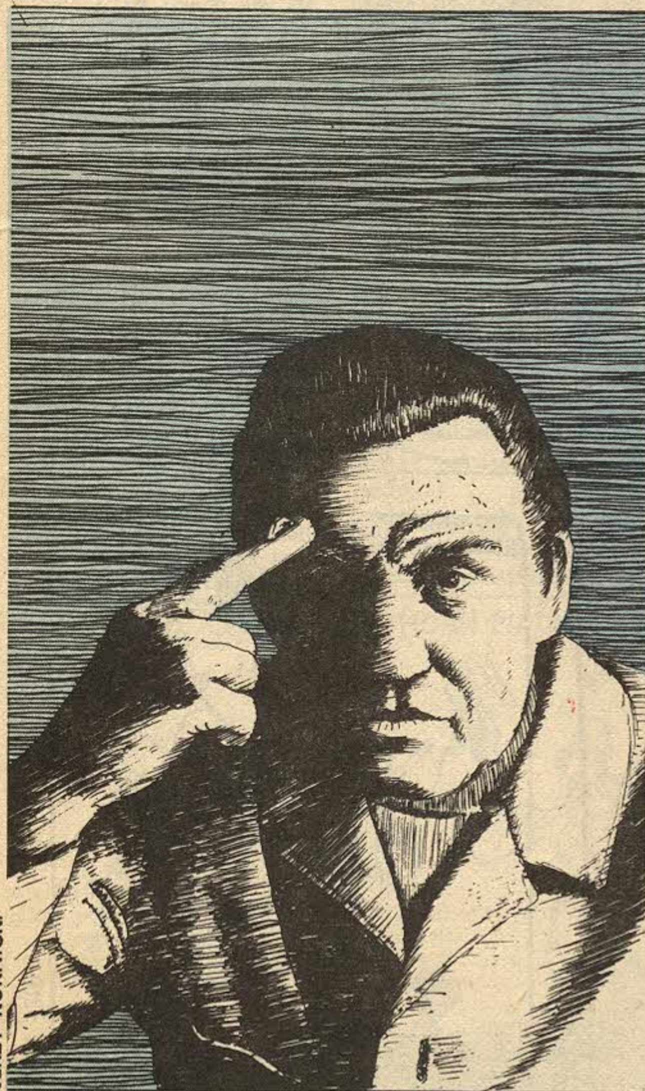
● Wszedł w siebie.
I dopiero wtedy spostrzegł,
że nie jest sobą.

● Uważaj, by twój proces myślenia
nie toczył się przeciw tobie.

● Nie należy obawiać się diabła,
gdy ten nie udaje anioła.



JAN CHOCHOWSKI (debiut)



JERZY KURNICKI

● Wady pięknie kwitną,
ale brzydko owocują.

● I ślepe tory mają swoje koleje.

● Niektórzy choćby na płyciźnie,
byle w bród!

● Machanie rękami nie stanowi wstępu
do orlich lotów.

● Często pierwszy lepszy
zostaje pierwszym.

● Im ostrzejsza satyra,
tym trudniej ukroić nią chleba.

● Kto nie popluwa na własne dłonie,
ten musi całować cudze.

● Niektórzy pobrzękują szabelką
jedynie dlatego, żeby zagłuszyć
szczękanie własnych zębów.

● Zwykle nim ktoś grubo beknie,
wielu najpierw cienko śpiewa.

● Tylko wątpliwi nie wątpią.

WŁADYSŁAW GRZESZCZYK

Warszawa dn. 12 X 1982 r.
Instytut Historii Kultury Materialnej
Polskiej Akademii Nauk
00-140 Warszawa,
Al. Świerczewskiego 105
ZHKM/4-20/82

Redakcja „Karuzeli"
90-103 Łódź,
ul. Piotrkowska 96

Instytut Historii Kultury Materialnej PAN zwraca się z uprzejmą prośbą o nieodpłatne zamieszczenie naszej notatki (dotyczącej dagerotypów) w jednym z możliwie najbliższych numerów Waszego pisma.

Ponieważ trafienie do prywatnych posiadaczy dagerotypów jest niezmiernie trudne, Instytut powierza swoją kwerendę wybranym, najpoczytniejszym pismom z terenu całej Polski licząc, iż tym sposobem dotrze do maksymalnej liczby osób i zwiększy szansę odnalezienia tych najstarszych, unikatowych zabytków fotograficznych.

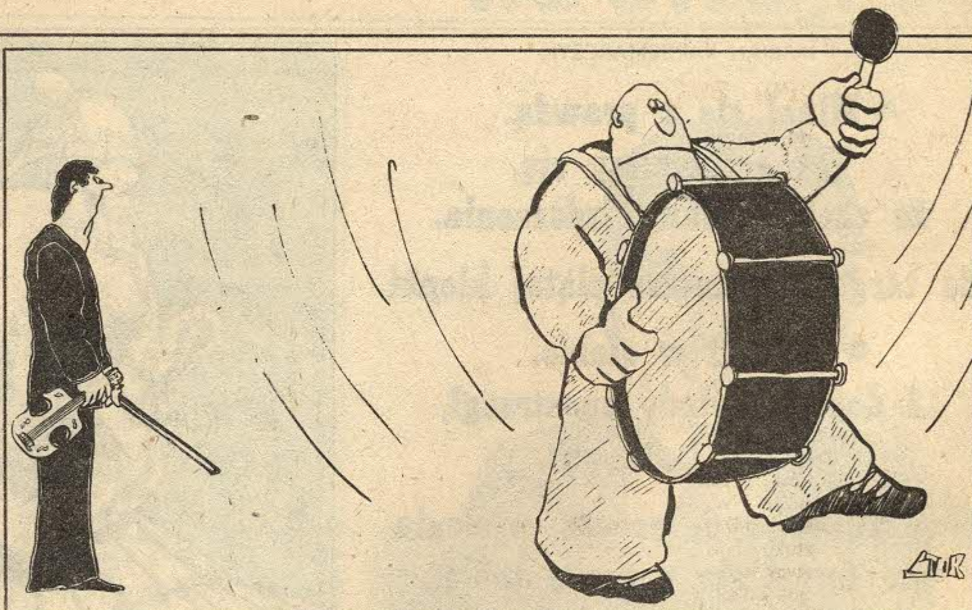
Dyrektor
Prof. dr hab. Witold Hensel

◆

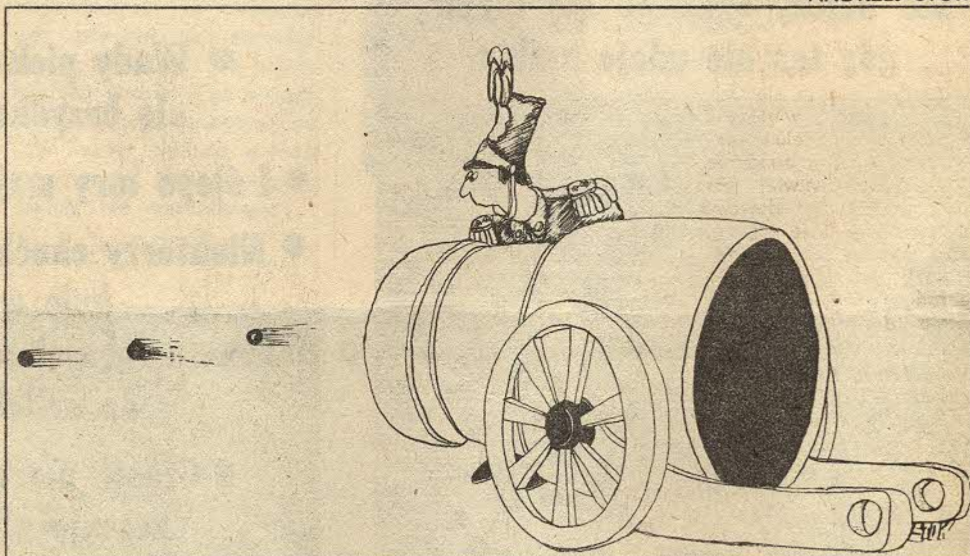
Kto ma dagerotypy?

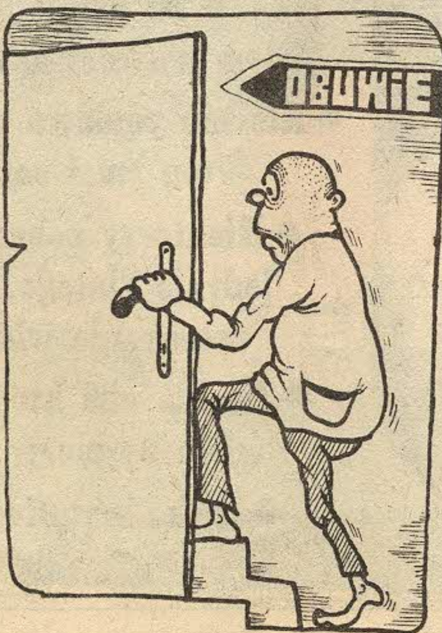
Instytut Historii Kultury Materialnej PAN przygotowuje do druku „Katalog dagerotypów w zbiorach polskich" i w związku z tym poszukuje (w celu naukowego opracowania) wszystkich unikatowych obiektów tej najstarszej techniki fotograficznej, wykonywanych w latach 1840 – ok. 1855 na srebrzonej, polerowanej blasze (zawsze tylko w 1 egzemplarzu), często oprawnych za szkłem w ozdobne passe-partout lub etui; dagerotypy poznaje się także po tym, iż zależnie od kąta patrzenia raz wyglądają jak pozytyw, a raz jak negatyw.

Wiadomości o dagerotypach w posiadaniu prywatnym prosimy kierować na adres: **dr Wanda Mossakowska, 01-684 Warszawa, ul. Klaudyny 38, m. 72, tel. 33-74-07 lub Instytut Sztuki PAN, tel. 31-31-49 (g. 9.30-15.30).**



ANDRZEJ STOK







ZBIGNIEW SZULC

Satyro, puchu marny!

Dobre czasy mogą nastać dla śmiechu!

Może nawet nie tyle dla śmiechu, jako takiego, gdyż nadal (choć jest on poza reglamentacją!) nie stanowi towaru, który mamy w nadmiarze, ale zanotowaliśmy pierwsze oznaki „wychodzenia z dołka", jeżeli idzie o nadanie mu właściwej rangi w życiu społecznym. Oto wybitny teoretyk socjologii komizmu, profesor Kazimierz Żygulski (autor m.in. tomu znakomitych studiów pt. „Wspólnota śmiechu", PIW, Warszawa 1976) został ministrem kultury i sztuki. Nie tylko zasłużeni teoretycy przechodzą do czynnego kształtowania przyszłości naszej wspólnoty śmiechu, ale i przeciwnie: coraz więcej czynnych satyryków zajmuje się historią lub teorią humoru. O tyle trudno się dziwić, że z czasem większość ludzi rezygnuje z celów ambitniejszych, niż wzbudzanie śmiechu; wszak łatwiej jest udawać wiedzę niż dowcip. Może zresztą wydaje im się, że jako samorodni naukowcy zasłużą sobie na więcej społecznego uznania, niźli go zapewnia „śmieszne powołanie".

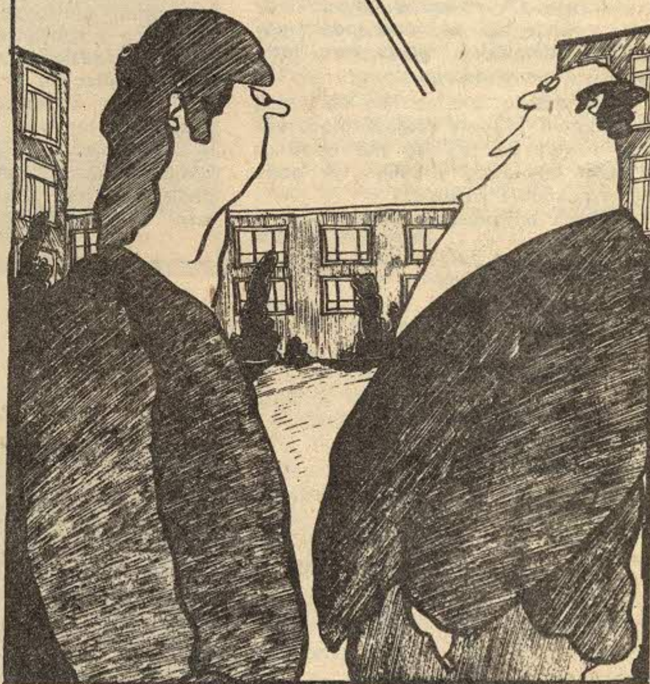
Postępowanie to może zaowocować powstaniem kilkunastu choćby prac, których autorzy będą mieli możność sięgnięcia do bezcennych źródeł, jakimi są zachowane roczniki czasopism humorystycznych, takich jak choćby międzywojenne: „Filut", „Papuga", „Łupu Cupu", nie wspominając o zeszłowiecznych: „Bałamucie", „Momusie" czy „Świstku". A z każdym rokiem zachowanych egzemplarzy jest coraz mniej! I jeżeli, Drodzy Czytelnicy, znajdziecie stary zeszyt humorystycznego czasopisma — nim podłożycie go pod przysłowiowe placki — pomyślcie, że jest to już, być może, ostatni egzemplarz tego wydawnictwa.

W ogóle trzeba stwierdzić, że pisemka satyryczne nigdy nie wzbudzały estymy wśród szanujących się bibliotek, czy archiwów. Nikt też (przynajmniej do niedawna) nie zadał sobie trudu zmikrofilmowania ich resztek.

Co więcej, w jednej z większych książnic uniwersyteckich roczniki przedwojennych czasopism satyrycznych zostały przekazane na makulaturę z powodu zniszczeń, jakich sprawcami byli „kolekcjonerzy" wycinający co celniejsze rysunki i felietony. Jeżeli ten smutny los stał się udziałem czasopism chronionych przez rzeszę bibliotekarzy i kustoszy (niektórzy nawet dyplomowani!), to cóż dopiero mówić o małych bibliotekach, w których tu i ówdzie spotyka się jeszcze ostatnie egzemplarze efemeryd humorystycznych, po jakich wkrótce nie zostanie nawet wspomnienie.

Gdybyśmy więc przyjęli rzadkość występowania jako podstawowy miernik wartości — okazałoby się, że te skromne, żartobliwe pisemka są daleko cenniejsze niż wiele inkunabułów, czyli XV-wiecznych druków przechowywanych z nabożeństwem wśród rzadkości bibliotecznych, wśród „cymeliów" czyli „białych kruków" chronionych w zbiorach specjalnych.

BOHDAN PIĄTKOWSKI



ANDRZEJ STOK



ZYGMUNT FIJAS

RYBOŁOWCY

Szukaliśmy błędu w rachunkach, z powodu którego nasz bilans kwartalny nie mógł być na termin oddany, a tymczasem nasz rachmistrz Wantuch, zamiast sprawdzać kolumny i szukać błędu, wbijał co chwilę palec w swój policzek i ruszał wargami, jakby z sobą rozmawiał. Zapytałem tedy:

— O czym pan tak myśli, panie kolego?

— Marzę o lecie i o rybach.

— Czy jest sens marzyć o lecie, którego już nie ma i o rybach, które przestały brać?

— Dla wędkarza obeznanego z przyrodą każdy miesiąc ma swe znaczenie — odpowiedział. — W tym miesiącu na przykład rozpoczęło się tarło łososia i pstrąga strumieniowego. W następnym rozpocznie się tarło sielawy i siei... W grudniu rozpocznie się trzeć miętus. A nawet w lutym, kiedy rzekę pokryje lód, zaś nad lodem pojawi się zimorodek, wciąż trwa tarło pstrąga strumieniowego.

— No dobrze, ale co nas obchodzą pana tarła? Musimy znaleźć błąd, oddać bilans! Bo jak go nie oddamy, to nam zmniejszą premię... A panu pluszczą kiełbie we łbie.

— Niech mi pluszczą nawet piętnastokilowe sandacze. Siedzimy nad tym zakichanym bilansem jak w obozie koncentracyjnym i zniekształcamy podczas siedzenia swe miednice, a tymczasem można by wziąć na plecy futerał, a w tym futerale wszystko, czego tylko dusza wędkarza zapragnie. I wędziska — płociówki, i linówki, i szczupakówki, i gruntówki, i wędki na brzany, czyli na „czuja", już nie mówiąc o prawidłowym kasarku i podbieraku, i znakomitych haczykach angielskich typu „kirby", „round beck", „limerick", kotwiczki podwójne, potrójne; wciągnąć na nogi gumowe cholewiaki — i świsnąć w wodę? Ot, tylko dlatego, żeby sobie przypomnieć lato.

— Dobry wędkarz, panie Wantuch — rzekła maszynistka — jeśli ma szczęśliwą rękę, to wystarczy, że zatknie na haczyk z agrafki kawałek ziemniaka, pomajda nim w wodzie na nitce — i łosoś łapie się na to jak złoto.

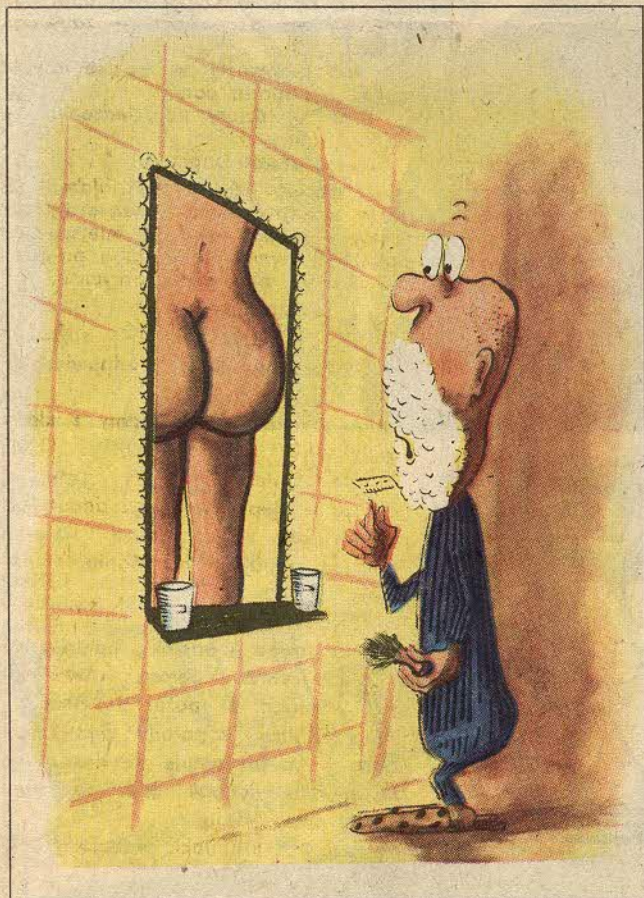
— Trafiłaś pani jak kulą w płot. Ryba nie jest taka głupia, jak człowiek, żeby ją można było brać na byle co! Jeśli pani nie pociągniesz łososia na jedwabnej plecionce, to tyle masz z niego, co z kobyły na dachu... A trzeba też wiedzieć, jakiej rybie co się należy. Rodzajów przynęt jest tyle, ile pani masz kapeluszy na wystawach. Każdy jest ten sam, ale każdy jest inny... Kleń na ten przykład, panowie koledzy, inaczej wam do haczyka nie podejdzie, jeśli mu nie zadasz czereśni albo mirabelki. Ale dobrej, soczystej, prosto z drzewa, nie wymiętolonej... Karp za żadne skarby nie zwróci na ciebie uwagi, jeśli mu nie zamajaczy przed pyskiem gotowany groch z dodatkiem prawdziwego lipcowego miodu i szafranu... Sum znowuż, jeśli mu nie opieczesz wróbla w ognisku, to przejdzie obok haka z taką miną, z jaką ty obok kaszanki z pęcakiem.

— No dobrze, kolego Wantuch — rzekłem. — Ale szukajmy błędu!

Oczy rachmistrza błysnęły złowrogo.

— Błąd znajdziemy tym prędzej, im lepiej wypoczniemy — powiedział. — Najlepiej się wypoczywa, gdy myśli się o tym, co przyjemne.

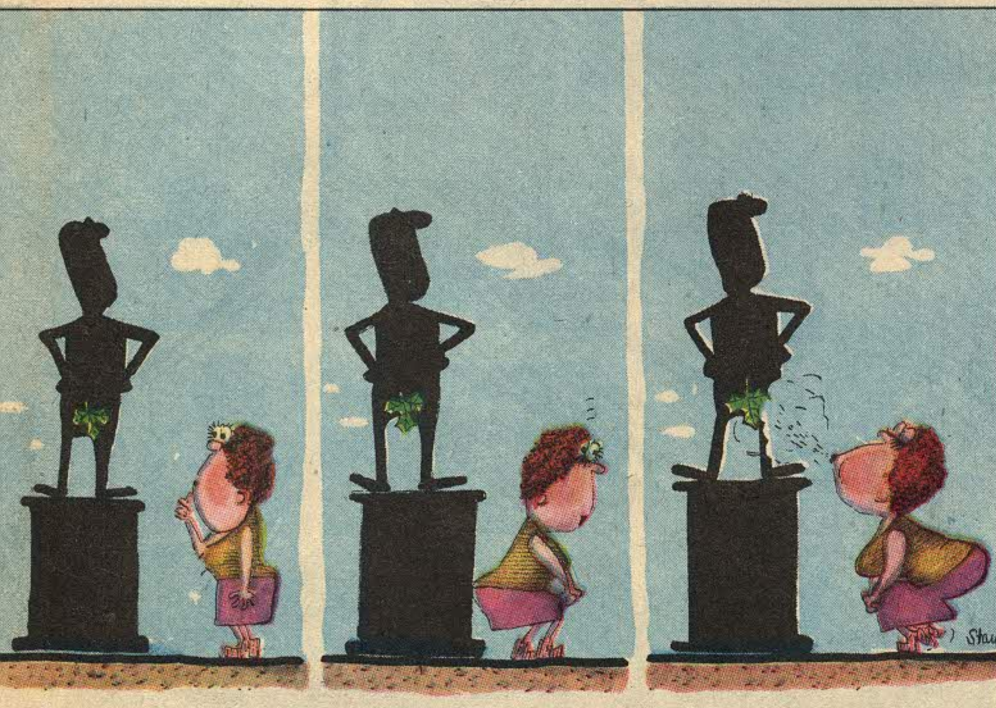
Pozwoliłem tedy dla próby snuć rachmistrzowi na głos swe marzenia, z których wynikało, że karp bardzo dobrze się bierze, gdy mu zadasz ser z mąką tortową, żółtkiem i oliwą nicejską, węgorz przepada za kiełbikiem i rosówką, ikra brzany w czasie tarła jest trująca, wątróbka zaś miętusa dobra jest na oczy, i gdy rachmistrz wyczerpał swój temat, oczy jego i mózg nabrały takiej sprawności, że tylko raz spojrzał na kolumnę wydatków i natychmiast stwierdził to, nad czym biedziliśmy się ze dwa dni, bo pogoda była, że psa szkoda było wygnać. Stwierdził, że w końcowej sumie, zamiast: złotych cztery miliony siedemset czterdzieści pięć tysięcy sto dwadzieścia cztery, groszy osiemnaście, miało być: cztery miliony siedemset czterdzieści pięć tysięcy sto dwadzieścia cztery złote, groszy osiem.





Rysunki: STANISŁAW DĄBROWSKI





JACEK SAWASZKIEWICZ

FACHOWOŚĆ

Udaliśmy się do pralni, żeby odebrać z czyszczenia ojcowski garnitur. Pulchna pani za kontuarem oglądała kolorowe tygodniki. Tato położył przed nią kwit i zagadnął:

– Czy już gotowe?

Pani z trudem oderwała wzrok od czasopism i spojrzała na nas.

– A kiedy było oddawane? – spytała.

– Trzy miesiące temu – odparł ojciec.

– To powinno być – powiedziała pani.

Potem z wysiłkiem wstała z fotela, podeszła do usypanego w kącie stosu ubrań i zaczęła w nim grzebać. Parę minut oglądaliśmy ją z tyłu. Później pani wyprostowała się i przyniosła nam coś zwiniętego w kłębek.

– Czy to to? – zapytała.

Tato przyjrzał się przyniesionemu.

– Niewykluczone – powiedział. – Chociaż przy moim garniturze guziki były, a przy tym ich nie ma.

Pani sapnęła ciężko.

– Rozpuściły się – oznajmiła. – Mamy importowane urządzenia, co piorą bardzo dokładnie. Jednej klientce, która przyniosła do nas sztuczne futro karakułowe, oddaliśmy tylko podszewkę. Nasze pralnice poradzą sobie ze wszystkim.

– Nie było natomiast tych plam na klapie i na nogawkach – zauważył ojciec.

– Widać wylazły w trakcie czyszczenia – odparła pani.

– Ani tej dziury na siedzeniu – ciągnął tato.

Kobieta znowu sapnęła.

– Przecież już powiedziałam, że nasze maszyny piorą nadzwyczaj starannie – rzekła. – W tym miejscu musiała być trwała plama albo po prostu materiał miał wadę fabryczną.

Tato zasmucił się.

– I co ja teraz zrobię? – spytał.

– Wstawi pan łatkę – odpowiedziała pani.

– A jak usunąć te plamy z klapy i nogawek?

– Zwyczajnie. Wystarczy przeprać garnitur w ciepłej wodzie z dodatkiem proszku „Ixi".

Ojciec popatrzył na panią z nadzieją.

– Zejdą? – spytał.

– Na pewno – odrzekła pani. – No i radzę także ubranko wyprasować. Wygląda, że pożal się Boże.

Skorzystaliśmy z porady. Garnitur ojca na nowo prezentuje się doskonale. Nie ma to jednak jak zalecenia znawcy przedmiotu.

W naszych pralniach pracują dobrzy fachowcy.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

NAGRODA

Każdy z nas musi zanieść rodzicom list od pana Dyrektora, specjalnie przez panią sekretarkę napisany na maszynie. List zaczynał się tak: „Podaje się do wiadomości PT Opieki Domowej Ucznia, że wychodząc z założenia, iż Szkoła i Dom zbliżyć się powinni ze sobą, wydaje się w salach szkoły bal kostiumowy, na którym obecność PT Opieki jest obowiązkowa..."

Pan Prezydent i Pan Marszałek z portretów przyglądali się nam, jak tańczymy i jak jesteśmy przebrani.

Przebrani byliśmy rozmaicie. Tańczyliśmy, jak kto z nas umiał, a na samym początku poloneza. W pierwszej parze tańczył pan Dyrektor z panią doktorową Kajzerowską. Pan Dyrektor miał na sobie prawdziwy mundur kolejarski: czapkę rogatywkę z czerwonym denkiem i granatową kurtkę ze srebrnymi guzikami. W prawej ręce trzymał kolejarską latarnię — z jedną szybką zieloną, drugą czerwoną. Wyglądał jak kolejarz i jeszcze przez to, że miał kolejarskie wąsy, czarne, odstające i przy końcach rozcapierzone, jak czasem pędzle do golenia. Wiódł poloneza jak sam Podkomorzy — tak, pamiętam, powiedział kolega Kazikowski z piątej klasy. Mnie trudno było przekonać się, czy miał rację, ponieważ nie widziałem, jak wiódł Podkomorzy. Pan Dyrektor co i rusz przypinał sobie latarnię do boku i mocno potrząsał lewą ręką, wolną od trzymania pani doktorowej Kajzerowskiej. Wyglądało to jakby nam chciał powiedzieć. „Pierwszej klasie bieda!" Myśmy jeszcze nie umieli za dobrze obracać się ku naszym dziewczynom i tak wciąż dreptać dokoła Wojtek.

Za kogo była przebrana pani Kajzerowska, nie pamiętam. Pamiętam za kogo jej synek. Za naszego ostatniego króla. Miał na głowie perukę z warkoczykiem i atłasową wstążeczką, kurteczkę z dwoma ogonami z tyłu i wąskie majtki, których nogawki wsadzone były w długie białe pończochy. Do tego miał babskie pantofle i przy boku szpadę. Trochę za bardzo skakał, bo był mały i jeszcze wcale mu się nie śniło zdawać do pierwszej klasy. Moja matka nie poznała go i wzięła za małpkę. Nikt by nie wiedział, że matka się pomyliła, gdyby nie to, że właśnie sama zapytała doktorowej Kajzerowskiej: kto to ruszył konceptem i wpuścił na salę małpkę? — i wtedy pokazała ręką jej synka. Doktorowa pogniewała się na matkę do grobowej deski. A przecież wolno jest kogoś nie poznać, czy pomylić z kim innym.

Pan prezes Kozik przebrany był za anioła, ale nie był podobny, bo nie ma w niebie takich grubych aniołów. Kolega Bobek był Winnetou. Miał na głowie pióropusz, a w nim każde pióro innego koloru. Nie pozwalał nam dotykać strzał od łuku. Mówił, że wszystkie są zatrute i kto ich dotknie, padnie trupem. Nasza Natka Piotrowska była Krakowianką, Łopacińska maharadżą. Ale maharadżą rano, kiedy dopiero co wstał i chodzi w jasnozielonym ubraniu do spania, jakie wkładają na filmach amerykańskie artystki do łóżka, kiedy chcą się facetowi podobać. Najładniej wygląda Turek Tytnerski. Przebrany był za ułana beliniaka. Miał wysokie czako, epolety, szablę.

Byłem na matkę zły jak pies. Przebrała mnie nie po rycersku, tylko w nie wiadomo co. Kazała szwaczce uszyć luźne, białe ubranko: wypuszczoną kurteczkę i szerokie spodnie. Kurteczka miała bardzo długie rękawy, przy końcu rozszerzone. Do kurtki i spodni poprzyszywane były kolorowe naszywki: kwiatki, kwadraciki, a w miejscu, gdzie człowiek ma serce, matka przylepiła nieprawdziwe serce z czerwonego papieru. Na głowę wsadziła mi wysoką czapkę, podobną trochę do napoleońskiej, tylko że z dzwoneczkami. Nie chciałem w takim czymś iść na bal, ale matka powiedziała, że tak właśnie chodził ubrany jeden wielki człowiek, nazwiskiem Stańczyk.

Pan Dyrektor machnął przed siebie zieloną latarką, jakby wysyłał pociąg do wszystkich diabłów. Wtedy zaczęto dawać nagrody za przebrania. I okazało się, że... ja dostałem najważniejszą nagrodę! Była nią książka o rycerzach. Prócz tego dostałem specjalny list od pana Dyrektora, z jego podpisem i pieczęcią, a także „flotę" na cukierki. Panie i panowie — oraz niektórzy koledzy — bili mi brawa. Ja sobie nie biłem, bo nie wypada, poza tym uważałem, że nagrodę powinien dostać Turek Tytnerski za ułański strój.

Pamiętam to wszystko jak dziś. Może dlatego, że od tamtego czasu nie nosiłem już takiej czapki i białego ubranka z naklejonym sercem z papieru i przez to nie otrzymywałem ważnych nagród z pieczęciami i zakręconym podpisem.

Fragment większej całości



HENRYK CEBULA

BOHDAN PIĄTKOWSKI

INSPIRACJA

–Zmieniłem zdanie o panu Prymarnym – oznajmił Literat wyciągając się w fotelu. – Dotąd uważałem go za człowieka wyrachowanego, zimnego, powiedziałbym: wręcz nieczułego, a przed tygodniem rzucił się z pięściami na osiłka broniąc honoru swego psa, któremu tamten ubliżył. Czyż nie dowodzi to daleko posuniętej delikatności uczuć?

Mecenas przybrał powątpiewający wyraz twarzy.

– Po pierwsze: pies jest traktowany przez swego pana jako część osoby właściciela, a zatem każda krzywda, czy zniewaga zwierzęcia niejako przenosi się na człowieka. Po drugie: pies wciągnięty na orbitę rodziny staje się w oczach pana jakby częścią społeczności ludzkiej i jako taki może odbierać niezasłużone cięgi lub być pieszczony.

– Nie rozumiem o co chodzi! – wyraził wątpliwość Dyrektor. – W myśl pańskich słów człowiek podły będzie męczył psa, osobnik szlachetny okaże mu troskę i staranie. A więc jakby podtrzymuje pan wyrażoną poprzednio opinię.

– Widzę, że nie zrozumieliśmy się, panowie – Mecenas rozłożył ręce. – W psychologii funkcjonuje tak zwana zasada kompensacji. Praktyka kryminalna potwierdza jq. I tak wyrodna matka może, opuściwszy własne dzieci, zdefraudować pieniądze, aby ofiarować je na sierociniec, a bywa, że zwyrodniały bandzior czasem otacza najczulszą opieką swego psa lub kanarka. Podobnie moja opinia o nikim nie będzie kształtowana przez czułostkowe gesty, tylko ocena całości postępowania wobec ludzi, bliźnich, czy zgoła współbraci, jak się panu podoba ich nazwać.

– W psychologii istnieje tyle przeciwstawnych szkół i poglądów, że można ich w ogóle nie brać pod uwagę – lekceważąco wtrącił Literat. – Zresztą reakcje poszczególnych osobników są zupełnie nie do przewidzenia. Wzmiankowany pan Prymarny, zawodowy żebrak, przed trzema laty kupił sobie psa i od kiedy na chodniku leżał przy nim duży owczarek zanotował poważne zwiększenie dochodów. Obecnie, kiedy wszyscy przed wydaniem trzy razy oglądają każdą złotówkę – ofiarność gospodyń domowych wyrażała się w składaniu w miseczce tegoż pana kości i skórek dla zwierzęcia, podczas gdy właściciel daremnie marzył, że ktoś zechce mu ofiarować kartki na alkohol albo pół basa w naturze. I choć obecnie pan Prymarny, pod wpływem budujących rozmów z dzielnicowym, zajął się nieźle płatnym sprzątaniem placu targowego, nadal oprowadza się ze swoim kundysem, ponieważ twierdzi, że dzięki obserwacji zwierzęcia nie nabiera do jego ludzkich krewniaków takiej niechęci, na jaką zasługują. A mówiąc o swojej pracy podkreśla, że wykonuje ją jedynie dlatego, żeby pies mógł pobiegać.

– Widać ten pański znajomy nie ma odwagi przypisać sobie jedynego dotąd porządnego uczynku. Stąd obarcza odpowiedzialnością psa, czyniąc zeń czarnego, przepraszam białego barana – rzekł Mecenas i sięgnął po karty. – Widzicie, moi mili, że mówiąc o skomplikowanych stosunkach człowieka i psa nie sposób zapomnieć o poważnej roli zwierząt jako moralnych inspiratorów naszego postępowania. Cóż, można je obarczyć wszystkim, gdyż nie umieją się bronić – podał talię do przełożenia. □

TADEUSZ GICGIER

WSPÓŁZAWODNICTWO AUTORÓW

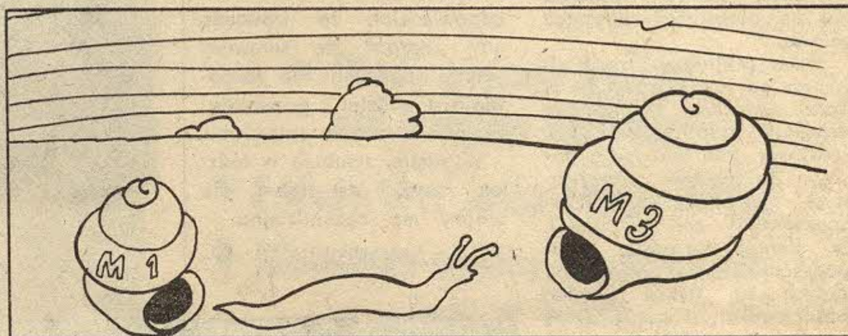
Styl zaprawiają, idąc w tym o lepsze,
nie tyle solą attycką, co pieprzem.

DAŁA MU

Dała mu muza
arbuza.

PEWIEN AUTOR

Cóż, że styl ma rozlewny,
nie widzę w tym szkody:
za to literaturę tworzy
c z y s t e j w o d y.



ANTONI CHODOROWSKI

AKTUALNOŚĆ, SENSACJA, ZŁOTE JAJKO

Makowiecki okrutnie się mylił! Jest w błędzie kiedy na przeszło stu pięćdziesięciu stronach książki „España 82" parokrotnie podkreśla, że nie jest dziennikarzem, tylko pisarzem.

Tak zupełnie, jakby nie był reporterem Melchior Wańkowicz, który bez zażenowania podkreślał swoje literackie koligacje z dziennikarstwem! Tak, jakby nie był genialnym reporterem sarmatczyzny pan Pasek, jakby... no, może mnie trochę poniosło. Gotów byłem powołać się na Homera jako patrona reporterów. W każdym razie tak czy inaczej, z pisarskim rodowodem, czy bez – jest dla mnie Makowiecki, autor „España 82", wzorem nowoczesnego, sprawnego i bardzo utalentowanego sprawozdawcy zajmującego się wydarzeniami... może nie roku, ale na pewno miesiąca. Że to bardzo dużo, niech uświadomi nam fakt, iż wczorajsze sensacje często dziś są traktowane jako coś przebrzmiałego i niegodnego wspomnienia.

Książka ta, na pierwszy rzut oka, przypomina luźno zestawione migawki z Mundialu poświęcone konkretnym osobom, zawodnikom, sędziom, hiszpańskim pisarzom, sprawozdawcom, hostessom, policjantom i ulicznikom. Wszystko robi wrażenie od niechcenia rzuconych kolorowych szkiełek, które same układają się w misterny witraż, stanowiący daleko pełniejszy obraz życia niż luźne migawki zaobserwowane z loży honorowej.

Środowiskowa plotka mówi, że dyrektor Łódzkiego Oddziału KAW porwał i odizolował od świata Andrzeja Makowieckiego po jego powrocie z Hiszpanii. Ponoć, biedak, w ciszy wiejskiego ustronia pracowicie znosił Wydawnictwu złote jajo, którym bez przesady można nazwać pozycję, jaka obrodziła stutysięcznym nakładem. Nie wiem ile jest w tym prawdy, ale gdyby historyjka ta oddawała stan faktyczny nie zdziwiłbym się. Zawsze byłem zdania, że praca literacka ma wiele wspólnego z galerami.

Nasunąć się może pytanie, dlaczego niniejszą recenzję zamieszczamy w „Karuzeli"? Odpowiedź jest prosta: jako wyraz uznania dla dobrej reporterskiej roboty i sympatii wobec sportu w ogóle, a piłki nożnej w szczególności.

B.P.

Andrzej Makowiecki „España 82" nerwy, radość, zwątpienie, zwycięstwo", Krajowa Agencja Wydawnicza, Łódź, 1982.

Życie handlowe w Łodzi

(od własnego korespondenta)

Sytuacja handlowa w Łodzi jest dobra. Mimo to mieszkańcy miasta z zadowoleniem, a nawet ulgą, przyjęli wiadomość o wprowadzeniu jednakowego zaopatrzenia dla całego kraju. Z ulgą, bo Łódź, dźwigająca sławę najlepiej zaopatrzonego miasta, jest obiektem nieustającego najazdu ludności z całego kraju. Codziennie, a szczególnie w dni targowe, zajeżdżają do śródmieścia, dumnie nazwanego Manhattanem, autokary z różnych miejscowości, oddalonych nawet o setki kilometrów. Autokary parkują w pobliżu domu towarowego Central, a przybyły nimi nawis inflacyjny, ogołociwszy Central, rozprasza się po pozostałych sklepach miasta.

Efekty centralnego rozdzielnictwa od razu zrobiły się w Łodzi widoczne. Wprawdzie autokary nadal zajeżdżają i łodzianie dalej nie mają dostępu do sklepów przemysłowych, ale za to ze sklepów spożywczych zniknęły jajka. W wolnej sprzedaży cena podskoczyła do trzydziestu złotych za sztukę (koniec października), a panie, które na rynku sprzedały towar po tej cenie, biegną szybko upłynnić swój nawis, który mają coraz większy.

Wśród zdesperowanych łodzian rozeszła się wiadomość, że w chłodni zepsuło się osiem milionów jaj. Plotce tej natychmiast ukręcił łeb lokalny program telewizyjny; wydaje się jednak, że dementi było całkowicie zbędne. Niewątpliwie bowiem wszystko idzie z magazynów do sklepów, a obywatel, który od dawna nie może prześwietlić sobie jaj, dopiero w domu przekonuje się ile jest popsutych, a ile świeżych, czyli — według oceny ekspertów — zbliżonych do normy.

W nowościach kartkowych pojawiły się na kartkach mięsnych odcinki z napisem: „Woł., Ciel. z kością". Żeby dostać Ciel. z kością, trzeba stanąć o czwartej rano w kolejce. Od czasu zjazdu NOT, szynki w łódzkich sklepach nie widać, ale nie należy się tym przejmować. Dyrektor Okręgowego Przedsiębiorstwa Przemysłu Mięsnego w Łodzi udzielił wywiadu „Dziennikowi Łódzkiemu". Oświadczył w nim, że pracownicy przemysłu mięsnego nie przepadają za szynką. Można więc mniemać, że te dwa kilogramy mięsa, które otrzymują tygodniowo, wielkiego uszczerbku w szynce nie czynią. Nie czyni i dyrektor.

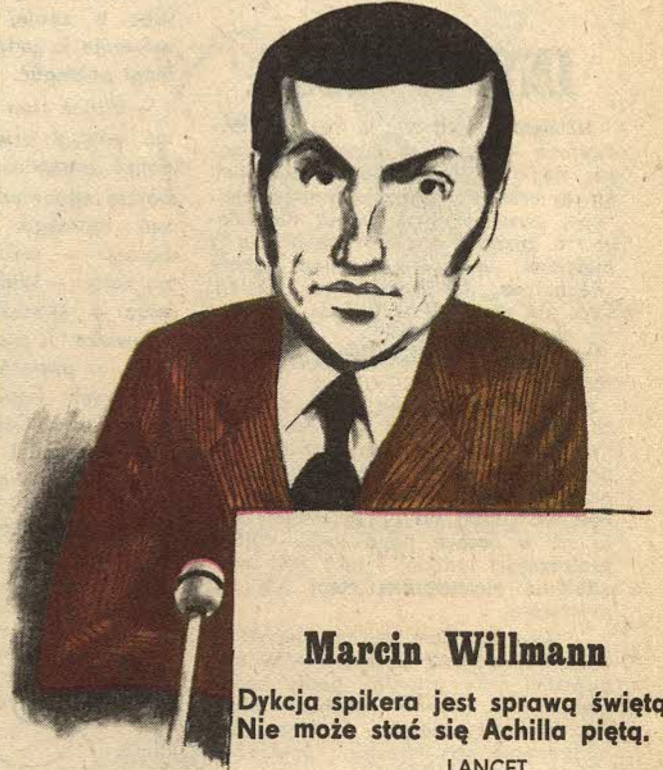
Wyznał on mianowicie, że osobiście bardzo lubi mortadelę, która, gdy jest świeża, może być prawdziwym przysmakiem. Ba, ale kto prócz dyrektora ma szanse zjeść świeżą mortadelę? Ponadto do wędliny tej należy mieć, jak gdyby a priori, stosunek życzliwy, bowiem do każdego jej kilograma przemysł mięsny dopłaca 31 (trzydzieści jeden) złotych.

Na pytanie kiedy poprawi się jakość wędlin, dyrektor odpowiedział, że wówczas, gdy poprawi się surowiec. Jest to odpowiedź nie pozbawiająca nadziei i pozwalająca na zachowanie optymizmu.

W sumie, sytuacja w łódzkim handlu jest dobra, ale ufajmy nie beznadziejna.

ANDRONIKA

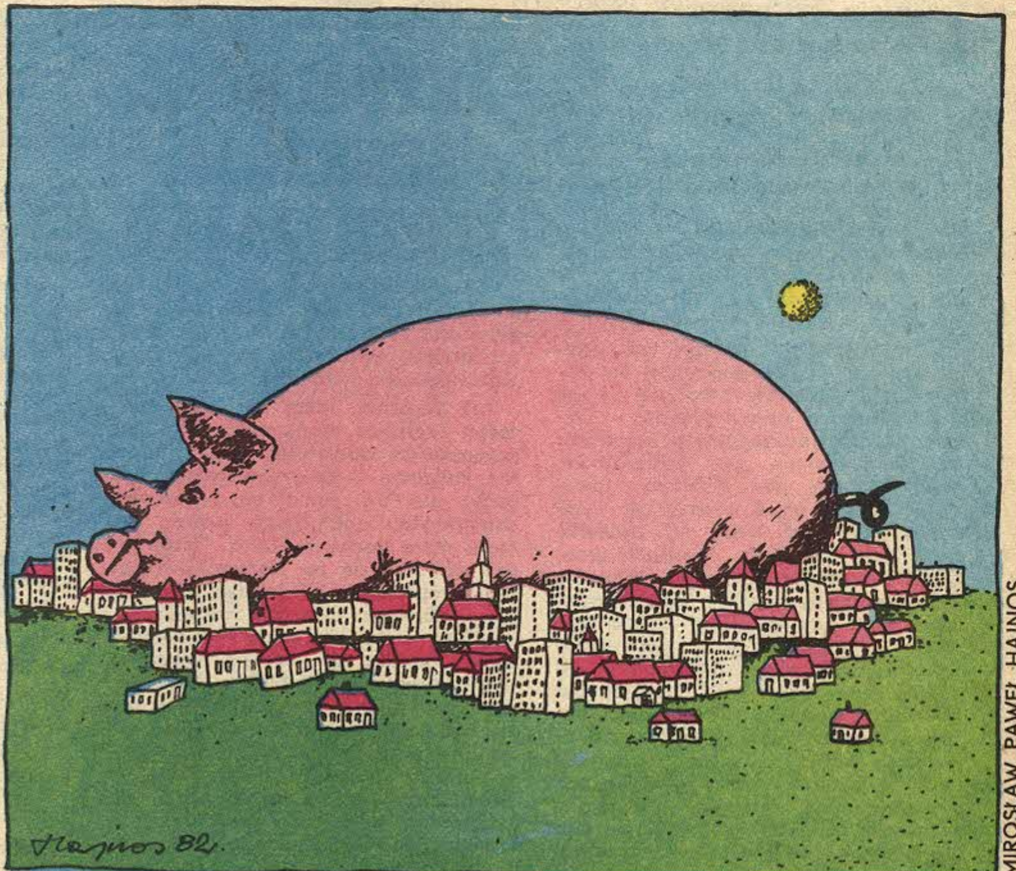
IBIS-GRATKOWSKI



Marcin Willmann

Dykcja spikera jest sprawą świętą,
Nie może stać się Achilla piętą.

LANCET



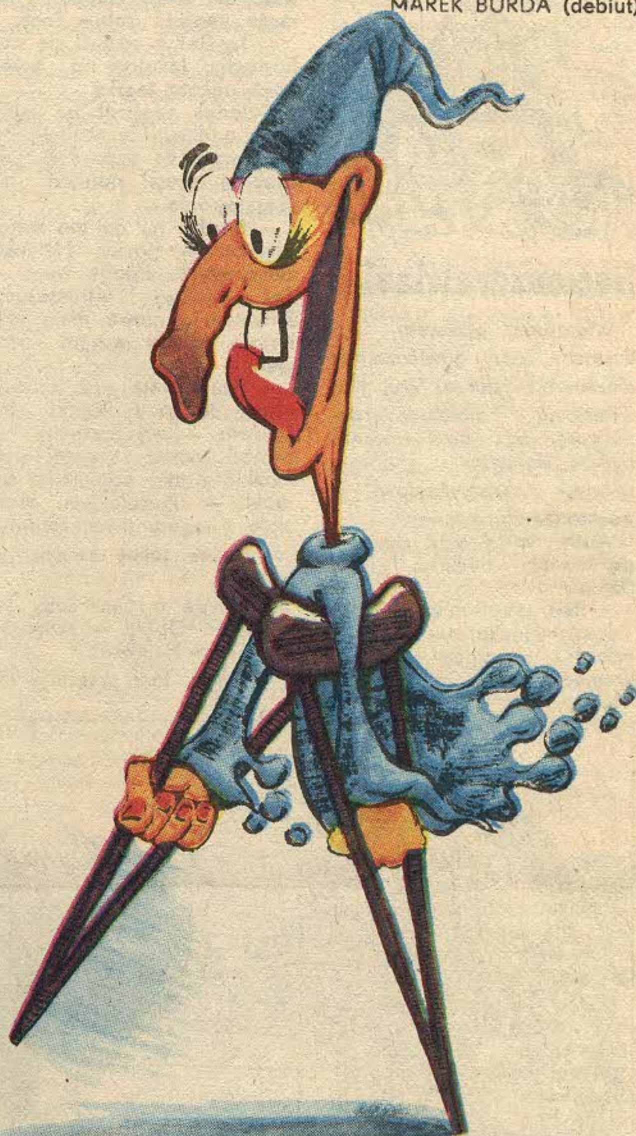
MIROSŁAW PAWEŁ HAJNOS

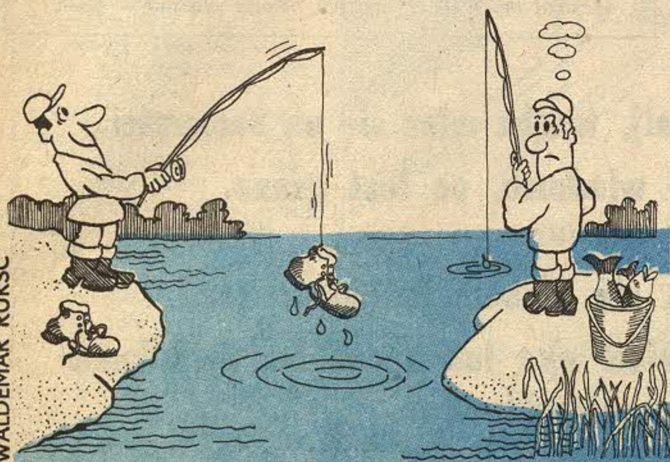
LECH KONOPIŃSKI

WOLNA SOBOTA

*Kto w życiu nie miał żadnych kłopotów,
ten ma dziś kłopot z wolną sobotą.
W piątek kur zapiał, zadzwonił budzik
i już za chwilę byłeś wśród ludzi.
A dziś, w sobotę, jak pies na smyczy,
zostałeś w domu. Leżysz i kwiczysz!
Żona w szlafroku i papilotach,
bo dla niej też jest wolna sobota;
więc nikt do serca cię nie przytuli
jak wczoraj jeszcze wśród gwaru ulic,
nikt nie zapyta o twoje zdrowie
jak jeszcze wczoraj druh twój, kadrowiec,
i koleżanka biurowa, Krysia,
też nie do ciebie śmieje się dzisiaj.
Nie masz podwładnych i przełożonych,
bo dziś należysz tylko do żony!
To dla niej zrobisz małą przepierkę,
pochwycisz szczotkę i złapiesz ścierkę,
dla niej przybijesz do ściany gwoździe
i goździkami napełnisz moździerz,
wytrzepiesz dywan, przetrzepiesz dzieci,
łapiąc domowe szczęście — jak leci.
Zaś po obiadku w rodzinnym gronie
twój telewizor blaskiem zapłonie;
wtedy w fotelu zasiądziesz właśnie
i z przyjemnością prawdziwą — zaśniesz.
Potem wśród uciech spytasz i pociech:
— Cóż ludzie widzą w wolnej sobocie?!*

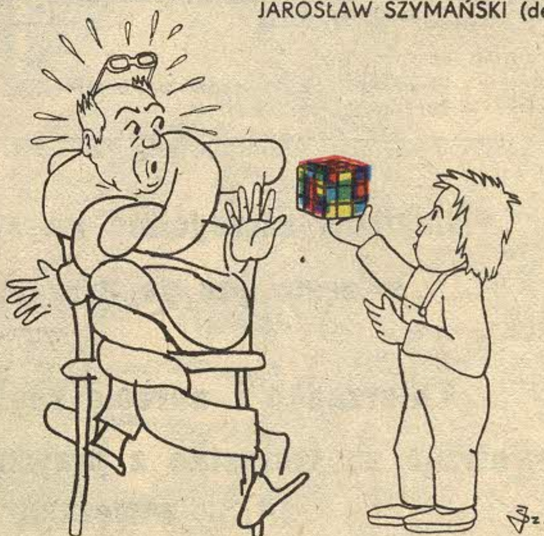
MAREK BURDA (debiut)





WALDEMAR RUKSC

JAROSŁAW SZYMAŃSKI (debiut)



— Dziadku, spróbuj jeszcze raz!

kartki z blekotnika



Samouzdrawianie

Wieczorem przyszedł wuj Eustachy, który odwiedza nas niezmiernie rzadko. Wuj jest entuzjastą ziołolecznictwa, mistrzem od komponowania herbat ziołowych i autorem udanych eksperymentów w przyrządzaniu nalewek.

Akurat w telewizji skończył się piąty odcinek „Jana Serce".

— No tak — westchnęła ciocia Helenka. — Porządny człowiek to nigdy nie ma szczęścia. Taki sympatyczny, wrażliwy, dobry chłopak i nie może znaleźć sobie żony.

— To źle? — zdziwił się wuj Eustachy, lokując na kolanach pękatą teczkę.

Dziadek spojrzał na teczkę z nadzieją w oczach, bo wuj przynosił zazwyczaj odrobinę nowej nalewki na skosztowanie.

— Bardzo mi się ten serial podoba — ciocia Helenka zlekceważyła uwagę wuja. — Taki życiowy i wzruszający. Z wrażenia głowa mnie rozbolała, chyba wezmę proszek.

— Ani mi się waż, to trucizna, ja mam lepsze lekarstwo — wuj Eustachy otworzył teczkę i zaczął wyjmować z niej papierowe torebki. — Przyniosłem wam zioła z tegorocznych zbiorów.

Dziadek jakby zwiądł w sobie.

— Myślę o tym, żeby jechać do Opola — zwierzyła się ciocia Helenka.

— A co, tam przestaje cię boleć głowa? — spytała babcia.

— Nie, ale tam jest jakiś nowy uzdrawiacz. W radiu opowiadali o nim cuda, nawet podali telefon — wyjaśniła ciocia Helenka.

— No właśnie, tysiące ludzi tam jadą, a tymczasem on sam potrzebuje uzdrowienia, bo jest ciężko chory. Fema też pojechała, na próżno zresztą, bo żadnych zapisów nie przyjmują, z przerażenia, że cała Polska im zjedzie — zrelacjonowała babcia.

— Teraz wchodzi w modę samouzdrawianie — włączył się do rozmowy dziadek. — Czytałem niedawno w gazecie o najnowszym odkryciu, które nazywa się BSM, czyli bioemanacyjne sprzężenie z mózgiem, a polega na wyrównywaniu zachwiania równowagi wewnętrznej.

— Nie rozumiem ani słowa — szczerze wyznała babcia.

— Chwileczkę — ucieszył się dziadek. — To jest bardzo proste. Kładziesz dłonie na głowie, żeby ściśle do niej przylegały, nad odpowiednimi ośrodkami mózgu. Promieniowanie z rąk wyrównuje różnice w bilansie energetycznym, które powstają na skutek schorzenia.

— I długo się te ręce trzyma? — zapytała ciocia Helenka.

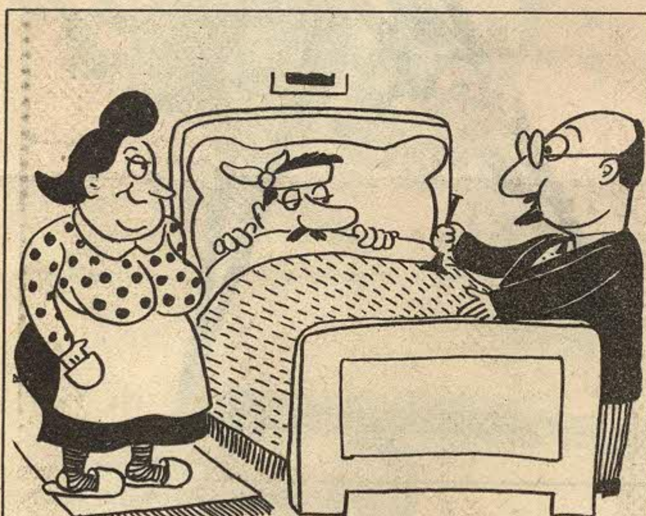
— Dziesięć do dwudziestu pięciu minut.

— A na co to pomaga? — sceptycznie zapytał wuj Eustachy.

— Praktycznie na wszystko. Na choroby serca, nadciśnienie, nerwice, choroby wirusowe, a nawet na hemoroidy, przepuklinę i zeza. Ten odkrywca wyleczył się w ten sposób z choroby oczu — ujawnił rewelację dziadek.

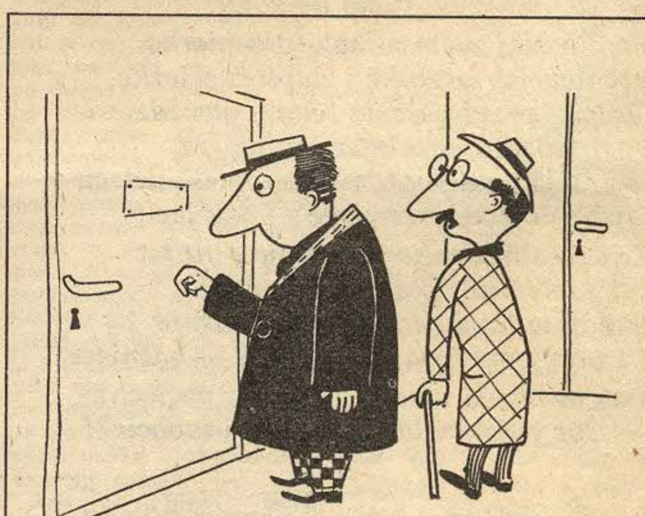
— Na oczy najlepszy jest świetlik — mruknął wuj Eustachy.

— No dobrze, a skąd wiadomo, w którym miejscu



— W którym miejscu chory ma bóle?
— Tam, gdzie go biłam!

ADAM BIEŃKOWSKI



— Pukaj mocniej, bo pewnie nikogo nie ma w domu!

• Niekiedy, szczególnie na spocznij, trzeba mieć się na baczności.

• Często już po przygrywce wiadomo, co jest grane.

WŁADYSŁAW GRZESZCZYK

• Nierzadko i aureolę zdobywa się diabelskimi sztuczkami.

• Patrząc na wszystko z przymrużeniem oka lub spode łba świadomie zawężamy horyzont widzenia.

ALEKSANDER SZARECKI

przyłożyć te ręce? – ciocia Helenka była poważnie zainteresowana nową metodą.

– Właśnie tego nie napisali, trzeba by się gdzieś dowiedzieć. Podobno w Łodzi powstał klub lekarzy interesujących się metodą BSM.

– Ja do tej pory nie mogę się nauczyć metody leczenia masażem stóp, wciąż nie wiem, w którym miejscu mieści się na stopie jaki narząd. Jak do tego dojdzie mi jeszcze mapa mózgu, to całkiem zwariuję – zmartwiła się ciocia Helenka.

– Na razie możesz spróbować na chybił trafił – zaproponował dziadek. – Jak nie wyleczysz migreny, to może przypadkiem wyleczysz sobie coś innego.

– Zaraz spróbuję – ciocia Helenka usadowiła się wygodnie i położyła dłonie na ciemieniu.

– Ten wynalazca, to jest lekarz? – zapytał wuj Eustachy.

– Z wykształcenia prawnik i historyk – odparł dziadek. – Ale metodę BSM odkrył pomimo wykształcenia.

– To się zdarza – zgodził się wuj Eustachy.

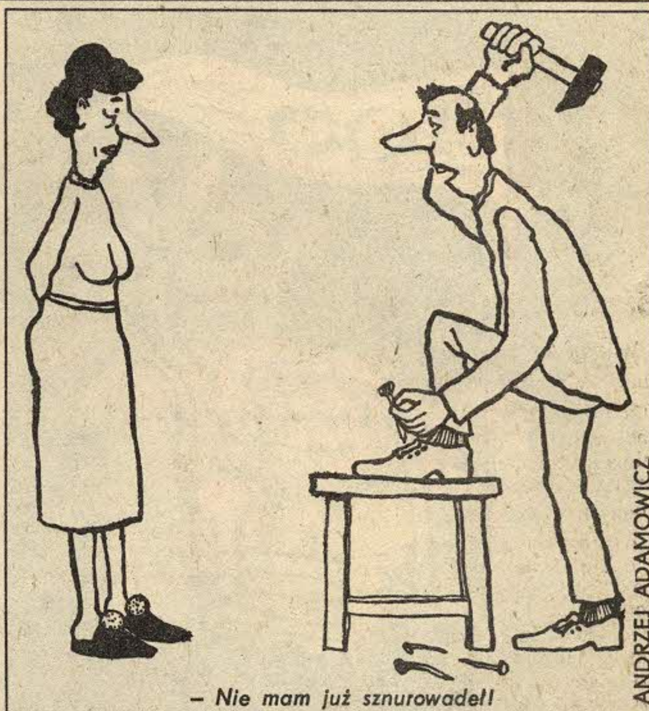
– Jak tak dalej pójdzie i przeniesiemy się na masowanie, ugniatanie, przykładanie, emanowanie i inne oddziaływanie, to będzie można zlikwidować akademie medyczne, przychodnie lekarskie, szpitale, apteki – rozmarzyła się babcia. – Jakież to oszczędności, ile dodatkowych lokali...

– Myślisz, że to nam pomoże wyjść z kryzysu? – zapytał dziadek.

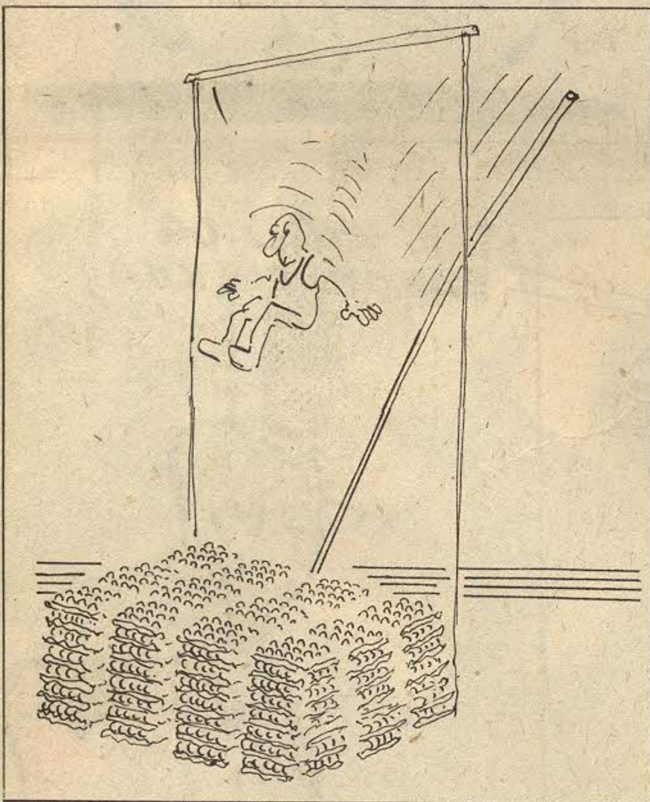
– Stosujmy więc samouzdrawianie – podsumował wuj Eustachy. – Helenko, wypuść z rąk swój mózg, przyniosłem wam do skosztowania trochę najnowszej kompozycji na spirytusie.

W dziadka wstąpiło nowe życie.

T. WOJCIECHOWSKA


ANDRZEJ ADAMOWICZ

– Nie mam już sznurowadeł!


ZBIGNIEW SIEZIENIEWSKI

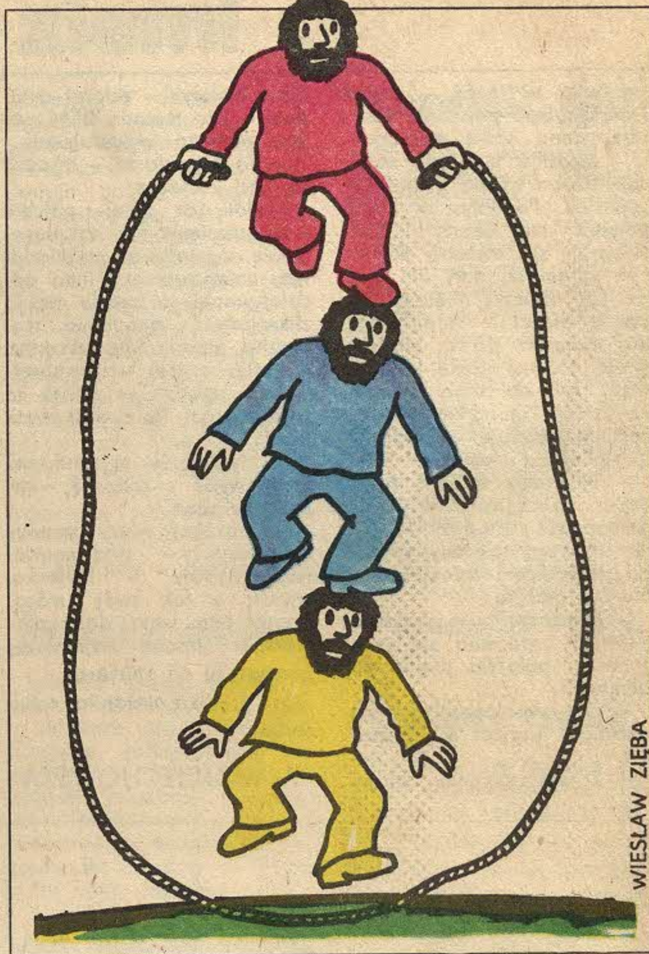


KAZIMIERZ WYSOCKI

karuzela Czasopismo satyryczne Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Adres redakcji: 90-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96. Telefony bezpośrednie: 314-32, 406-46. Centrala: 293-00. Redaguje zespół: WOJCIECH DRYGAS (redaktor naczelny), ADAM BIEŃKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), BOHDAN PIĄTKOWSKI (sekretarz redakcji), STANISŁAW GRATKOWSKI (kierownik działu graficznego), HALINA SIBIŃSKA (zastępca kierownika działu graficznego), STEFANIA MAŁEK (red. techniczna), KAROL BADZIAK. Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", 90-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne 92-332 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Rysunków i tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i adiustacji nadesłanych tekstów. Numer zamknięto 4.XI.1982 r. Zam. 2320 F-12, Nr indeksu 36254. Opracowanie graficzne numeru STANISŁAW GRATKOWSKI



JACEK RUPIŃSKI



WIESŁAW ZIĘBA

TAK WYGLĄDA
KANON PIĘKNA

ANDRZEJ ADAMOWICZ